

Paweł Łęczuk i Jakub Jabłonka: ANDRZEJ GRABOWSKI. JESTEM JAK MOTYL czyli Autoopowieść najbardziej znanego aktora polskiego ever

- To przecież w ogóle nie tak było! -

stanowczy głos jakiejś wzburzonej kobiety

wybił się nagle ponad gwar cizby

spluwającej po schodach teatru...

zaczyna swą powieść Maryla Szymiczkowa

pt. "Złoty róg", a wydarzenie ma miejsce

po premierze "Wesela" w Teatrze Miejskim

w Krakowie, w sobotę, dnia 16 marca 1901 roku.*

Jestem po lekturze autobiografii Andrzeja Grabowskiego i mam trzy opcje, albo nie pisać nic, albo napisać coś jak gdyby nigdy nic, albo dopisać coś od siebie. Wybieram opcję trzecią: Otóż ową "piękną Szwajcarką, która była Polką" jestem ja i mam coś do sprostowania. Bo rzeczywiście, "to przecież w ogóle nie tak było!". Tylko jakie to ma znaczenie, skoro wesele Rydla, takie jakie było, jest "Weselem" Wyspiańskiego takim, jakim przekazał potomnym geniusz autora? Sztuka to kreacja zależąca od wielkości talentu, a nie od zgodności z prawdą. Sztuka to kreacja, a kreacja to wybór i deformacja. I już.

Autorami autobiografii są Paweł Łęczuk i Jakub Jabłonka, jak czytamy na okładce, "duet twórczo-producencyjny", to oni wykonali ciężką pracę spisywania i opracowania wywiadów z *autobiografowanym*, natomiast sam bohater autobiografii opowiada to, co z bogatego życia i dorobku chce przekazać swoim słuchaczom-czytelnikom. A jest on gawędziarzem przednim, to trzeba mu przyznać. Z czułością ale i z humorem opowiada o swoim rodzinnym mieście Alwerni, nie gorzej niż o dzieciństwie w Rimini opowiedział Federico Fellini w filmie "Amarcord", ulubionym obrazie Andrzeja, o czym, przy jego popularności, już cała Polska wie, po ostatnią chatę za wsią.

Z sentymentem, ale i z dystansem opowiada o początkach w zawodzie aktorskim, o młodości "chmurnej i durnej", jak mówi, o miłości szumnej i jurnej, jak ja dopowiadam. O graniu i rozrabianiu w Tarnowie i Krakowie, i na niezliczonych wyjazdach z teatralną trupą po Polsce i za wszystkie granice świata. O ludziach, z których tyłu już bawi się na wesoło lub upija na smutno na bankietach niebieskich, o autorach tak oryginalnych jak Bogusław Schaeffer... o sztukach tak niepodrabialnych jak "Opis obyczajów" (w czasach za panowania Augusta III opisanych przez księdza Kitowicza)...

Kreatywnie a z werwą tłumaczy Kiepskich "Pochwałą głupoty" Erazma z Rotterdamu - to jedna z jego ukochanych na całe życie lektur - bo głupota to twórczyni dziejów nie mniej istotna niż mądrość, a może nawet bardziej? Sądząc po efektach pewnie bardziej!... Anegdota przeplata poezją, klnie i rozpacza, drwi i chwali, pije i trzeźwieje. Książka jest jak pyszny chłodny szampan, mieni się pod światło tęczęmi, iskrzy żywymi kropelkami. Skaczące bąbelki na języku i cierpkie smaki w przełyku. Wywołuje przyjemny zawrót głowy, uwodzi refleksją, rozkłada tęsknotą. Jest też jak wódka, paląca i oszałamiająca...

<https://www.youtube.com/watch?v=9cTsf4W2JZQ>

Ale wróćmy do tytułu: "Jestem jak motyl" - to cytat z piosenki "Jest dobrze" i leci dalej tak: "jestem jak motyl przesadnie zmęczony". Andrzej Grabowski wykonywał ją na Festiwalu Gwiazd 2008 w Gdańsku w ramach koncertu pamięci Jana Himilbacha i Zdzisława Maklakiewicza.

Mnie jednak ten tytuł konweniuje z czymś innym: w roku 2016, gdy rozwód aktora z drugą żoną stał się tak głośny, że jego echa dotarły nawet do moich uszu, choć gazet czy portali plotkarskich nie czytuję, bo czytuję w tym czasie coś innego, zajrzałam tu i ówdzie i dowiedziałam się tego i owego.

A że żyjemy w czasach, gdy każdy może w sieci zostawić swoje jedynie słuszne zdanie, poczytałam trochę tych zdań i nieszczerze się zdziwiłam, że każdy gadał bądź co, bo niby skąd każdy miałby wiedzieć, jak to tam było? Przeważnie ludzie dawali upust swojej niechęci a to do znanego powszechnie aktora, a to do jego dużo młodszej żony, mniej czy bardziej nienawistnie zarzucając jemu, że niedobry, jej zaś, że wyszła za znanego aktora z powodu jego sławy i pieniędzy.

Więc któregoś razu, gdy trafiłam na fejsbuku na komentarz *jeszcze-pani-Grabowskiej* (miałyśmy trochę wspólnych znajomych), napisałam do niej, że co jak co, ale ten zarzut o kasę jest ewidentną kulą w płot, i kto jak kto, ale ja o tym wiem najlepiej w przeciwieństwie do tych, którzy nie wiedzą. Wiem z jakiego powodu można chcieć wydać się za Andrzeja. Też chciałam, a było to w czasach, gdy, jak opowiada w swojej autobiografii, zarabiał 30 marek... nie na dzień, nie na tydzień, ale na miesiąc(!)... Ja wtedy zarabiałam za 2 godziny tyle i to - jako studentka - wykonując tzw. Studentenjob, nocną pracę na poczcie w Zurichu... no, taka to była wtedy przekładnia... I choć ceniony w środowisku i grający znaczące role - choćby Jaśka z "Wesela" na deskach Teatru Starego w reżyserii Andrzeja Wajdy - długo jeszcze nie był powszechnie tak bardzo znany, żeby nie mógł jeździć tramwajem.

Napisałam do niej mniej więcej w te słowa: ...wiem, że gazety (plotkarskie) piszą o Waszym rozstaniu, zajrzałam do netu i znalazłam różne teksty o Was, najwyraźniej już od jakiegoś czasu pojawiające się. Ochlapało mnie też całe to błoto, które się na Was wylewa w komentarzach, czy to na niego, czy na Ciebie. Na Ciebie, że "poszłaś na kasę". No, cóż, każdy sądzi według siebie, a kasa jest najmocniejszym, a często wręcz jedynym argumentem dla wielu... Ale nie sądzę, żeby Ci chodziło o kasę, śmiem nawet twierdzić, że wiem, "na co poszłaś".

Mianowicie na to samo, "na co poszłam" i ja, i inne dziewczyny z życia Andrzeja. Na jego nieodparty urok, *sex-appeal* znaczy! Bo na pewno w roku 1980 ja nie poszłam na kasę. Ani na sławę, ani na kasę! Wyłącznie na

sex-appeal! Tak, to jest to coś, co ma Andrzej i co jest prawie tak rzadkie w przyrodzie, jak różowe delfiny. Mężczyźni bez sex-appealu z kasą łapią dziewczyny na kasę, w każdym razie te, które na kasę lecą. Ci z sex-appealem nie mogą się od dziewczyn opędzić, nawet jeśli nie mają kasy ani, ani, ach...

Ach, ten wdzięk, ten czar! Szczególny bonus do kołyski. Jeśli na dobitek łączy się z innymi ciekawymi cechami, talentami, wyglądem (co, owszem, może prowadzić także do kasy, choć niekoniecznie), to jest to jak pasieka dla misia, mniam, mniam.

To jest ta mieszanina męskości z młodzieńczą łobuzerskością, motylkowata (no, właśnie, napisałam: *motylkowata*) lekkość bytu, w takich mężczyznach można się zakochać na zabój. I wcale nie muszą być młodzi, ani piękni, to jest cecha osobowości niekoniecznie zależna od wieku i urody. Mój tato to miał i pewnie dlatego tacy mężczyźni podobają mi się najbardziej. Myślę, że ze znanych osób mieli to np. Casanova czy Marek Hłasko, ulubieńcy kobiet. Czy Siergiej Jesienin, ulubieniec Isadory Duncan i Andrzeja Grabowskiego.

<https://www.youtube.com/watch?v=k8zOWQuiB5Y>

I nie jest to ani pusta gogusiowatość, ani próżna amantowatość, to coś ujmującego połączone ze szczególną wrażliwością. I nie znaczy to, że taki ktoś nie ma wad. Ależ ma! Najróżniejsze, a jeden takie, a drugi inne, kombinacji jest tyle ilu pełnych uroku ludzi i są to ludzie, nie anioły. Tylko że ludzie bez tego wdzięku też mają całe zestawy wad, więc jak ktoś ma któreś z tych zwykłych wad a ponadto talent i wdzięk, to i tak cieszy się powodzeniem większym niż ogół. Znacznie większym.

To jest ten appendix, który chcę dopisać do opowiedzianej biografii "Jestem jak motyl", bo sam opowiadający o sobie tego nie opowie. Motyle są piękne i przyciągają wzrok. A że "nasz" motyl jest "przesadnie zmęczony"? No, cóż, jest! Jako ten motyl jest delikatny a żyje na tyle długo, że miał dość czasu, żeby się zmęczyć. Kiepski a delikatny, ktoś zapyta? Tak może zapytać tylko ktoś, kto zna Andrzeja Grabowskiego z tej jednej roli. Ja go znam z bardzo wielu ról. I na dobitek z życia, żeby nie powiedzieć współ-życia.

Poznaliśmy się bowiem już w roku 1972 przez jego przyjaciela ze Szkoły Teatralnej Tomasza Poźniaka (nie Woźniaka, jak omyłkowo jest w książce, o nim piszę w mojej autobiografii). Od 1976 wielokrotnie widziałam obu przyjaciół w najróżniejszych rolach, a to na deskach teatru w Tarnowie, a to, gdy wrócili do Krakowa, w Krakowie... Z Jędrusiem, bo tak go nazywam, parą zostaliśmy w połowie 1980 roku (a nie w 1981, jak błędnie podaje).

Och, ci Kiepscy! Powiedzieć, że nie przepadam za Kiepskimi, to nic nie powiedzieć, jak powiedziałyby przyjaźniący się z Andrzejem Jerzy Pilch. Ale wiem jedno, to tylko jedna z ról. Zresztą świetnie zagrana, choć średnio urocza. I wśród moich znajomych są tacy, którzy autentycznie "uwielbiają" Kiepskich i Andrzeja w roli Ferdynanda Kiepskiego, odpoczywają przy nich, tak jak ja odpoczywam oglądając czy czytając wciągające thrillery, świadomością się angażuję, a podświadomość mi się w tym czasie resetuje i po dobrej dawce suspensów i ich rozwiązań znowu jestem jak nowa, wielbiciel Kiepskich wyśmiawszy się zapewne też.

Z Kiepskimi jest podobnie, można się pośmiać z ich głupoty, samemu od tego nie głupiejąc, lub będąc tak głupim, sitcom ze swojej zasady sam podpowiada, kiedy się śmiać, a śmiech jest zaraźliwy, taka jest formuła tego rodzaju serialu komediowego, *situation comedy*. I tu zgadzam się z tłumaczeniami w różnych wywiadach Andrzeja, trzeba nie lada pomysłowości, żeby wymyślać ciągle i ciągle nowe sytuacje na kilka wieczorów tygodniowo i to już od dobrych 20 lat.

Tyle że ja na te 8 milionów widzów w szczytach powodzenia Kiepskich byłam widzem osobiście, że tak powiem, dotknęłam. Z rzadka zaglądałam do Kiepskich, ale jak już, to dotknięta bywałam do żywego. Bo choć jestem już bardzo-bardzo byłą narzeczoną aktora wcielającego się w "Ferdka", to jednak pamięć uczuciową mam żywą i ten "Ferdek" trochę mnie uwiera, no, bo żeby aż taki prostak!?!... Z drugiej strony przecież wiem, że to aktor i wiem co potrafi, a potrafi, potrafi! To nie jest aktor wyuczony, to jest aktor urodzony!...

I to właśnie "Kiepscy" wykatapultowali Andrzeja Grabowskiego na firmamencie sławy wyżej, niż Janek Kos Janusza Gajosa (w swoim czasie), czy Hans Kloss Stanisława Mikulskiego (na zawsze), co jest szczęściem i pechem zarazem. I na końcu tej trajektorii jest teraz jego autobiografia, a w przyszłości kto wie, jakie biografie jeszcze powstaną? I jakie prace analizujące fenomen tego właśnie sitcomu tak bardzo wpisanego w krwiobieg Polski wczesnokapitalistycznej szykuje przyszłość?

Pod koniec roku 2001, po dwóch latach nieprzewidzianego niewyobraźnego nieprzerwanego powodzenia Kiepskich, zaproszona przez odtwórcę roli głównej, siedziałam sobie jako anonimowy widz na jego benefisie w Teatrze Stu i cieszyłam się na dobrą zabawę. Po drugiej stronie sceny - jak wiadomo Teatr Stu to taki *quasi* amfiteatr - na widowni siedziała cała rzeczywista rodzina Andrzeja, żona Anka Tomaszewska z córeczkami i ojcem, brat Wiktor w mundurze galowym górnik i brat Mikołaj gotowy do współwystępowania, tuż przy scenie zgromadzona była rodzinka serialowa Kiepskich, a po przeciwnej stronie widowni gdzieś w tylnym, ale zarazem wyższym rzędzie, ja, niedoszła rodzina, bo tak, tak, "już prawie byliśmy w urzędzie", i myślałam sobie, dzięki ci dobry Boże, żeś w porę interweniował, bo cóż z nas byłoby za żeństwo? W naszej konstelacji z góry odpadało to miałkie "mał", które jednych łączy, drugich łamie...

On "Łgarz" - w komedii dell'arte Carlo Goldoniego grał pięknego Lelio, uwodziciela z Wenecji, jak sam Casanova -, ja "Łobuzica" - mnie podobał się w latach 70. nadzwyczaj film z BB "Gdyby Don Juan był kobietą". I jak tu pożenić dwoje takich na "ł"? Łzami by się zalało...

<https://www.youtube.com/watch?v=fDIFxjiNAVA&t=8s>

Na koniec zaanonsowane sprostowanie, bo choć taka autobiografia to nie jest ani spowiedź święta, ani policyjne zeznanie, ani prawda i tylko prawda, nie prawdy czytelnik oczekuje, a dobrej opowieści, to jednak "coś w ogóle nie było tak", a mianowicie to, że się jakoby bałam pojechać do Polski, gdy nastał stan wojenny. Nie jestem nieustraszona, ale nie jestem też lękliwa i nie tylko, że się nie bałam, ale 30 grudnia 1981 roku próbowałam wjechać do Polski na siłę powołując się na zapis w paszporcie konsularnym, że jako obywatelka Polski mogę wjechać zawsze i w każdej sytuacji.

A jednak cofnięto mnie z granicy NRD/PRL i żadne tłumaczenia i próby wdarcia się nie pomogły. Wróciłam pierwszym nocnym pociągiem w kierunku przeciwnym, ale tylko do Berlina Wschodniego. Znalazłam się w środku nocy w ciężkim mrozie na pustym obskurnym dworcu stolicy Niemiec komunistycznych. I co teraz? Co dalej???

Dalej w końcu wzięłam taksówkę na spótkę z zawróconym z tego samego pociągu do Polski dziennikarzem australijskim (nie, nie austriackim, australijskim, z drugiego końca świata, z krainy kangurów, a te, jak wiadomo, nie mówią po niemiecku!) z wizą wydaną przed 13 grudnia. A kiedy to się nie udało, próbowałam zaraz na początku stycznia '82 zabrać się z transportem z pomocą powodzianom, bo akurat jeszcze wezbrana krą Wisła wtedy gdzieś w okolicach Puław i Płocka wylała, więc wybrałam się do Misji Wojskowej w Berlinie Zachodnim i nuże przekonywać, że chcę z nimi jechać!

A tam jakiś ...uj-oficer obejrzał mój paszport polski i zapytał, czy mam także szwajcarski, a kiedy mu pokazałam, wrzucił oba moje paszporty do szuflady po swojej stronie biurka i powiedział, "a teraz nie ma pani żadnego". Jakoś i z tej opresji wyszłam, ale tu moja autobiografia definitywnie rozjechała się z autobiografią autora "Jestem jak motyl" w dwie różne strony.

<https://www.youtube.com/watch?v=eEfsZcaigK8>

*

Paweł Łęczuk & Jakub Jabłonka: ANDRZEJ GRABOWSKI. JESTEM JAK MOTYL, wyd. Agora SA, Warszawa 2020

I jeszcze moje zboczenie zawodowe, błędy. Błędów zauważyłam bardzo niewiele - oprócz tego, co sam opowiadający namotał, ale to już idzie na jego konto - opowiedział, jak chciał, albo jak pamiętał, a pamięć nie jest absolutna... A zatem oprócz wspomnianego Woźniaka, który jest Poźniakiem jest jeszcze Tęczynek, a powinien być Tencynek.